ROZMAITOŚCI.

Dnia 19 kwietnia, Nr. 16. roku 1845.

Zdarzenie z rewolucyi francuzkiéj.

PRZEZ H. BALZAKA.

Dnia dwudziestego drugiego stycznia 1793, około ósméj z wieczora, na paryzkiém przedmieściu St. Martin, szła jakaś poważna staruszka ulicą przy kościele św. Wawrzyńca. W śniegu, który cały dzień gęsto padał, nie było prawie słychać jéj kroków. Ulice były zupełnie puste, a panująca wokoło cisza, sprawiała tém smutniejsze wrażenie, iż teraz właśnie w Paryżu czasy teroryzmu panowały. Staruszka jednak nie zważała nato, i szła coraz daléj zamierzoną drogą, mając starość za talisman, który ją od wszelkiéj przygody zachowa.

Minąwszy ulicę »Zmarłych«, zasłyszała jakieś kroki za sobą. Byłoto, chociaż w śniegu, ciężkie stąpanie mężczyzny, który, jak sobie teraz przypomniała, od niejakiego czasu nieraz szedł za nią. Zatrwożona tą myślą, iż ją może ktoś w niedobrym zamiarze śledzi, zaczęła przyśpieszać kroku, aby się zbliżyła do jasno oświetlonego sklepu, i mogła przekonać, w jakim zamyśle ów człowiek za nią idzie. Zdążywszy w łunę światła, które się ze sklepu na ulicę rozchodziło, spojrzała lękliwie za siebie i postrzegła w mgle wieczora jakąś postać ludzką. A to jedno spojrzenie było dostateczne, aby ją śmiertelną trwogą przeraziło. Już bowiem teraz wątpić nie mogła, iż ją ten sam nieznajomy przez cały dzień dzisiejszy śpieguje. Trwożna chęć ukrycia się przed śpiegiem, podwoiła jéj omdlałe siły. Zaczęła przeto biédz co mogła naprzód, nie pomnąc, iż idący za nią mężczyzna, był nierównie od niéj śpieszniejszym, i jakby jéj cień, niezbędnie za nią dążył. Tak po półgodzinnym prawie przeciągu czasu, zaszli oboje na sam koniec przedmieścia. Jestto jedna z najsamotniejszych okolic Paryża, która osobliwie w wypadkach o których tu mówimy, siedliskiem nędzy i rozpaczy być się zdawała.

W ciągu takowéj półgodzinnéj trwogi, zaszła w umyśle uciekającéj staruszki niejaka zmiana. Gwałtowne jéj wzruszenie bojaźni, jakiéj na widok mniemanego prześladowcy doznała, uspokoiło się cokolwiek. Przeto wskutek téj naturalnéj reakcyi, nie doświadczywszy nic złego od człowieka, którego z początku za śpiega miała, zaczęła szlachetniejsze przypisować mu zamiary, a wkońcu nawet na ten domysł wpadła, że to może był jaki ukryty przyjaciel, który jéj bronić zamierza. Rozważywszy tedy wszystkie te okoliczności, które ją w tém zdaniu utwierdzić mogły, i zapomniawszy już prawie o niedawnym przestrachu, zbliżała się śmiało do jednego ubogiego domku, który był w owéj stronie, gdzie się główny gościniec przedmieścia St. Martin z drogą prowadzącą do *Barrière de Pantin* krzyżuje.

Widząc ją w tę odludną okolicę najnędzniejszego ubóstwa zmierzającą, zdał się jéj nieznajomy prześladowca być nieco zdziwionym i zmieszanym. Zatrzymał się na chwilę i stanął w zamyśleniu, jakby nie wiedział co daléj czynić. Odbita łuna światła, w którego obrębie obecnie się znajdował, oświéciła twarz jego.

Strwożonéj staruszce zdało się teraz coś

strasznego w niéj wyczytywać; korzystając więc z ciemnéj nocy i pozornego wahania się nieznajomego, podkradła się śpiesznie pode drzwi owego odosobnionego domu, i otworzywszy je z lekka, zniknęła mu z oczu. Nieznajomy stanął i patrzył nieruchomie na ten dom stary, który zdał się być typem wszystkich lichych domostw tego przedmieścia. Był on z nieciosanego zbudowany kamienia, przeżółkłym gipsem otynkowany, który się już tak był popadał, że za lada mocnym powiewem wiatru mógł opaść. Stary ceglany, mchem porosły dach, masą śniegu przeciężony, groził co chwila zawaleniem się. Każde piąterko tego lichego domu było o trzech oknach, których ramy skutkiem wilgoci i słońca strawione, widocznie zimném powietrzem mieszkanie przenikały. Odosobniony ten dóm podobny był do staréj, zaniedbanéj wieży, która pastwie czasu uległa. Dolnych piątr okna były zupełnie ciemne, w poddasznych tylko blade światło jaśniało.

Z trudnością wyszła staruszka po wschodach, przy których gruby postronek miejsce poręcza zastępował; zapukała śpieszno do izby, i wszedłszy do środka, usiadła zadyszana i znużona na krześle, które jéj jakiś stary mężczyzna skwapliwie przysunął. —

Powierzchowność téj staruszki wzbudzała litość i poszanowanie. Chociaż cera jéj twarzy była z natury blada, przecież można było poznać, iż jakieś świéże wzruszenie, jakiś przypadek, jeszcze bledszą ją uczyniły.— Ubranie głowy zakrywało ze wszystkiem jéj włosy, które bez wątpienia już zupełnie siwe były; czysty, wyłożony kołniérz okazywał, iż nie używa pudru, a zupełny niepojaw włosów, nadawał jéj twarzy wyrazu czcigodnéj, religijnéj powagi. Jéj spojrzenie było surowe i harde. — Zachowanie się wyższych stanów różniło się niegdy tak znacznie od zachowania klas średnich, iż łatwo można było poznać, że nasza nieznajoma do tych wyższych klas należała, które powszechnie za czasów rewolucyi *ci-devant* nazywano.

Przyszedłszy do siebie i postrzegłszy starego mężczyznę, który jéj był krzesło podał, ozwała się z trwogą: »Ach, skryj się wpan; skryj czém prędzéj!«

»Cóż się stało?« zapytała z trwogą druga dama, siedząca przy kominku.

»Ów nieznajomy, który od wczoraj mieszkanie nasze śledzi, szedł znowu dzisiaj aż pod nasze drzwi za mną;« odrzekła zmieszana.

Na te słowa spojrzeli trzéj minszkańcy poddasza z wzajemną trwogą po sobie. Staruszek był najmniéj przestraszonym, chociaż może jemu największe groziło niebezpieczeństwo. Bo jest to naturalnym wypadkiem, że każdy zacny człowiek, stękając długo pod jarzmem ciężkiego nieszczęścia, zaczyna w końcu robić ofiarę z siebie; każdy dzień uważa za odniesione nad srogiém przeznaczeniem zwycięztwo. Zwrócone jednak na starca spojrzenia kobiét, okazywały jasno, iż on jeden jest głównym powodem ich obawy.

»I czemuż mamy rozpaczać i tracić w Bogu nadzieję, siostry moje?« rzekł przytłumionym lecz uroczystym i spokojnym głosem. — »Czyżeśmy nie śpiewali chwałę jego śród krzyku morderców i konających w klasztorze karmelitańskim!? Jeźli jego najwyższą wolą było, abym uszedł był wtedy śmierci, stało się to zapewne w celu zachowania mię dla innego przeznaczenia, które powinienem znieść bez szemrania. Bóg strzeże tych, co mu służą wiernie, i może rozrządzać niemi podług swojéj woli świętéj. On to, nie ja powinien być przedmiotem myśli waszych.«

»Niech się dzieje wola jego!« ozwały się obie damy.

»Skorom się tylko raz za bramą mego opactwa Chelly ujrzała,« — rzekła siedząca przy kominku zakonnica — »jużem sobie powiedziała, żem umarła.«

»Oto są hostyje,« — ozwała się druga, która przed chwilą co przyszła, — i podała księdzu pudełeczko, schowane starannie w zanadrzu, i będące celem, dla którego dziś z domu się wydaliła. — »Oto są hostyje — lecz zdaje mi się — iż ktoś po wschodach idzie!«

»Nie trać odwagi siostro,« — pocieszał ją kapłan — »chociażby tu ktoś wszedł

do nas. Pewna zaufana osoba, na któréj wierności stale polegać można, przebyła z wszelką ostrożnością granicę, i przyjdzie tu po listy, które do księcia Langeais i margrabiego Beauséant napisałem, aby obmyślił środki wyprowadzenia was moje siostry z tego okrutnego kraju.«

»A panże z nami nie pojedziesz?« zawołały obie z wyrazem najżywszéj boleści.

»Mojém przeznaczeniem być tam, gdzie są nieszczęśliwi;« odrzekł kapłan.

Zakonnice zamilkły patrząc z uwielbieniem na czcigodnego starca.

»Siostro Marto,« — rzekł kapłan, zwracając się do zakonnicy, która hostyje przyniosła — »ów posłaniec, o którym tu wspomniałem, odpowié na słowo: »*Hosianna,* słowami: *Fiat voluntas.*« —

»Jest ktoś na wschodach!« ozwała się trwożnie druga zakonnica, zaglądając przez ukryte okienko we drzwiach.

Tym razem można już było wyraźnie słyszéć w nocnéj ciszy czyjeś stąpanie po wschodach. Kapłan skrył się do dużéj szafy, która w kącie izdebki stała, a jedna z zakonnic zarzuciła go sukniami.

»Można już zamknąć, siostro Agato;« ozwał się stłumionym głosem kapłan.

Zaledwie szafę zamknięto, już dało się słyszéć trzykrotne zapukanie do drzwi, a obie zakonnice zadrżały z bojaźni.

Jedna i druga miała już przeszło lat sześćdziesiąt. Od lat cztérdziestu oddalone od wszelkich styczności ze światem, podobne były do wychowanych w cieplarni kwiatów, które natychmiast usychają, skoro je na świéże wyniesiono powietrze. Przyzwyczajone do życia klasztornego, nie wiedziały o niczém inném, jak tylko o swoich surowych powinnościach. Pewnego dnia wyłamano fórtę klasztorną, i wygnano je na wolność, która je strachem przeraziła. Łatwo sobie wystawić, jak bolesnym musiał być dla nich ten stan zupełnéj poniewiérki, o jaką je wypadki rewolucyi francuzkiéj przyprawiły. Nie zdołając pojednać swoich klasztornych spokojnych wyobrażeń z zawiłémi trudnościami praktycznego życia, zdawały się być dziećmi, które pozbawione macierzyńskiéj opieki, jakiéj dotychczas doznawały, modliły się w przypadkach, w których płakać miały! W niebezpieczeństwie, które w téj chwili im zagroziło, nie widziały innego ratunku, jak tylko chrześcijańską rezygnacyję.

Nareszcie drzwi się otworzyły a ów straszliwy nieznajomy wszedł do pokoju. Ze drzeniem postrzegły zakonnice, iż to był w saméj istocie ten sam człowiek, który od dwudziestu cztérech godzin tak podejrzliwie wokoło ich domu śledził. Nie ruszyły się z miejsca, i patrzyły nań z trwożném oczekiwaniem. Był on silnéj budowy ciała i dość słusznego wzrostu; lecz ani w jego sposobie znalezienia się, ani w zarysach jego twarzy nie było widać, coby o jego złych zamiarach poświadczać mogło. Stał téż jak i one przez chwilę nieruchomy i spoziérał wokoło po izdebce.

Dwa słomą zasłane tapczany służyły za łoża zakonnicom. Na jedynym stole na środku izby, stał miedziany lichtarz, przy nim kilka talérzy, trzy noże i bochenek chleba. Na kominku pałało kilka suchych polanek drzewa. Mały zasób nagromadzonego paliwa w kącie izdebki świadczył o ubóstwie zakonnic. Ściany były malowane, ale dészczowa woda, która z dachu ściékała, mocno je poplamiła. Na gzymsie kominu stała relikwija, którą zapewne przy zburzeniu opactwa Chelles uratowano. Przypiérające do komina drzwi oznajmiały, iż tam się jeszcze jeden pokój znajduje. Nieznajomy obejrzał wkrótce cały inwentarz tego ubogiego mieszkania, i zdał się być do żywego wzruszonym, a przynajmniéj miłosiernie na zakonnice spojrzawszy, był w równym kłopocie jak i one, nie wiedząc od czego zacząć. Po chwili dopiéro odgadnął zupełny brak doświadczenia i moralnéj siły zakonnic, i ozwał się tak łagodnym głosem, na jaki go tylko stać mogło:

»Obywatelki, nie przychodzę tu jako wasz nieprzyjaciel.« Po tych słowach zatrzymał się, a potém zaczął znowu: »Gdyby jakie nieszczęście na was siostry moje spaść miało, wierzajcie mi, iżby nie z mojéj winy was dotknęło. Miałbym jednę prośbę, która....«

*

Zakonnice ciągle milczały.

»Gdyby moja prośba miała wam być natrętną, gdyby wam jaką przykrość sprawiała, więc tylko szczérze powiedźcie, a natychmiast odejdę. Lecz bądźcie przekonane, iż z duszy waszego dobra pragnę, i gdybym wam jaką przysługę mógł wyświadczyć, chciejcie ją tylko bez bojaźni wymienić, a będzie spełniona — gdyż ja może sam jeden — wyżéj prawa stoję.«

Te słowa były z takim wyrazem prawdy wymówione, iż siostra Agata — która z książęcego domu Langeais pochodziła i swojém zachowaniem się to poznawać dawała, iż ją niegdy powietrze dworu królewskiego owiéwało — natychmiast lichy stołek nieznajomemu wskazała i usiąść go prosiła. Ta oznaka grzeczności przejęła nieznajomego widoczną radością, do któréj jednakże jakiś smutek się przymieszał, bo nie usiadł wprzódy, aż pokąd zakonnice nie usiadły.

»Panie przyjęłyście u siebie pewnego czcigodnego kapłana,« — ozwał się po krótkiéj chwili nieznajomy — »kapłana, który cudownym sposobem uszedł rzezi w klasztorze karmelitańskim.«

»*Hosianna!*« zawołała z pośpiechem siostra Agata, przerywając nieznajomemu i patrząc nań z ciekawością.

»Nie,« — odrzekł nieznajomy — »tak on się nie nazywa.«

»Alež, mój panie,« — odrzekła siostra Marta z żywością — »niéma tu żadnego księdza u nas......«

»W takim razie powinnebyście były panie być przynajmniéj ostrożniejszémi;« odpowiedział niezajomy łagodnie, wyciągając rękę i podnosząc leżący na stole brewiarz. »Wątpię abyście panie po łacinie umiały...«

Nie mówił daléj, gdyż okropne przerażenie, które się na twarzach zakonnic objawiło, kazało mu ochraniać je dalszémi uwagami. Obie stały drżące ze łzami w oczach.

»Uspokójcie się szanowne panie;« rzekł z szczérą otwartością. »Wiém ja wasze i gościa waszego nazwiska, i mam od trzech dni wiadomość o waszém nieszczęśliwém położeniu i poświęceniu się dla czcigodnego *abbé de...*«

»Przez Boga, ciszéj!« szepnęła prostodusznie siostra Agata, kładąc palec na ustach.

»Widzicie więc moje siostry, iż gdybym miał niegodziwy zamiar zdradzenia waszego ukrycia, mógłbym to już był dawno uczynić.«

Gdy kapłan te słowa usłyszał, wyszedł śmiało z kryjówki i stanął pomiędzy obecnymi.

»Nie mogę przypuścić,« — ozwał się do nieznajomego — »abyś do naszych prześladowców miał należéć, i zwierzam ci się z ufnością. Proszę powiedzieć, czego odemnie żądasz.«

Swięta, niezachwiana ufność kapłana, szlachetny, bogobojny wyraz jego oblicza, mogłyby nawet były dłonie morderców rozbroić. Tajemniczy nieznajomy przypatrywał się przez chwilę téj z trojga nieszczęśliwyck składającéj się grupie, a potém rzekł smutno do kapłana w te słowa:

»Czcigodny ojcze, przychodzę tu prosić cię o mszę ś. za duszę zmarłego.... za duszę pewnéj uświęconéj osoby, któréj kości — niestety — nigdy w błogosławionéj ziemi spoczywać nie będą!«

Na te słowa dreszcz mimowolny przejął kapłana, a obie zakonnice, które się jeszcze nie domyślały o kim nieznajomy chciał mówić, wlepiły ciekawie oczy w obudwóch rozmawiających; kapłan mierzył nieznajomego niedowierzającém spojrzeniem a widoczna obawa malowała się w jego twarzy.

»Dobrze więc,« — odpowiedział po krótkim lecz ciężkim namyśle — »przyjdź dzisiaj o północy, a znajdziesz mię gotowego do odprawienia błagalnéj, żałobnéj ofiary, dla zmazania ciężkiéj, niesłychanéj zbrodni.«

Na te uroczyste słowa zadrżał nieznajomy; lecz jakiś rodzaj wewnętrznego zadowolenia zdawał się w téjże chwili pokonywać jego trwożne wzruszenie. Pokłoniwszy się z smutném uszanowaniem obudwom zakonnicom i kapłanowi, wyszedł z wyrazem nieméj wdzięczności.

We dwie godziny po tej scenie wrócił nieznajomy, zapukał skromnie do drzwi, i został przez pannę Beauséant wpuszczony, która go do drugiego umyślnie na tę uroczystość przyrządzonego pokoju zaprowadziła. Tam ujrzał pomiędzy dwa kominy wsuniętą starą komodę, której starożytne formy, jedwabna, zielona opona zakrywała. Na białej ścienie wisiał wielki krucyfix z hebanu i ze słoniowéj kości. Na tym improwizowanym ołtarzu stały cztéry małe świéce, rzucając wokoło blade światło, które ledwie kąty izdebki rozjaśnić mogło; ale że same tylko święte przedmioty oświécało, przeto zdawało się, iż to był z nieba zesłany promień na uczczenie tego skromnego ołtarza. Podłoga była wilgotna, w ukośnie spadającym po obu stronach dachu znajdowały się duże szpary, przez które wiatr styczniowy ostro przeciągał. Nie można sobie nic uboższego ale oraz i nic wznioślejszego wystawić nad ten żałobny obrzęd, któremu panująca wokoło głęboka cisza nocna, tém większéj uroczystości dodawała. Po obu stronach ołtarza, klęczały obydwie zakonnice, modląc się wraz z kapłanem, który ubrany w szaty duchowne, przygotowywał bogaty, kosztownémi kamieniami wysadzany kielich mszalny, pochodzący bez wątpienia z starożytnego opactwa chelleskiego. Obok tego cyboryjum, które zapewne religijnéj hojności dawnych królów francuzkich było zabytkiem, stały dwie liche śklanki z przeznaczonem do mszy winem i wodą. W braku mszału położył kapłan brewiarz na ołtarz. Zwyczajny talérz służył do obmywania rąk, które niczyją krwią zbroczone nie były. Wszystko tam było małe a przecież wielkie, powszedne a przecież wzniosłe i święte!

Nieznajomy ukląkł nabożnie obok zakonnic. Nagle jednak, ujrzawszy żałobną krepę na kielichu i krucyfixie, został nito jakiémś okropném przypomnieniem tak mocno wzruszony, iż duże krople potu na czoło mu wystąpiły. Czteréj niemi świadkowie téj uroczystéj sceny spojrzeli tajemniczo po sobie; poczém wznieśli ducha w żałobnych modłach do Boga; zdawało się, jakgdyby te modły przywołały też ducha owego męczenika, którego głowa na rusztowaniu padła, i jakby niemy cień jego nad niemi dziękczynnie się unosił. Obchodzono tu exekwije bez ciała umarłego. Pod tym walącym się dachem modliło się czworo chrześcijan za króla Francyi, i odprawiało pogrzeb bez trupa. Był to uczynek bezprzykładnego przywiązania, nie mający żadnych samolubnych zamiarów. Cała monarchija zdała się tu być obecną w modłach starego kapłana i dwóch zakonnic; a może była tu też i rzeczpospolita, reprezentowana przez owego człowieka, na którego twarzy widne były ślady sumienia.

Zamiast słów łacińskich: *Introibo ad altare Dei etc.*, rzekł kapłan po francuzku:

„Przystąpmy do ołtarza pańskiego.”

Przy tych słowach jakiś dreszcz tajemniczy przeniknął nieznajomego, który obok zakonnic klęczał. W murach samego kościoła św. Piotra w Rzymie, nie mogłoby rzewniejsze panować nabożeństwo, niż to, które się w tym przytułku ubóstwa odbywało! Pobożność nieznajomego miała wyraz najszczérszéj prawdy. Przy *Pater noster* stanęły mu łzy w oczach. Oprócz zwyczajnéj formuły dodał jeszcze kapłan następne łacińskie słowa, które nieznajomy bez wątpienia rozumiał:

„*Et remitte scelus regicidis, sicut Ludovicus eis remisit semetipse.*”

(I odpuść królobójcom, jako sam Ludwik im odpuścił.)

Zmówiono modlitwy za umarłych. Odśpiewanie cichym głosem hymnu: „*Domine salvum fac regem*”, wszystkich do łez rozrzewniło, gdy pomyśleli, iż królewska dziecina, za którą modły do nieba zasyłali, w ręku nieprzyjaciół się znajduje. Nieznajomy zadrżał na myśl, iż jeszcze druga zbrodnia popełnioną być może, w któréjby udział mieć musiał.

Po skończoném nabożeństwie dał kapłan obudwom zokonnicom znak ręką, aby się oddaliły, a zostawszy sam z nieznajomym, przystąpił z łagodnością do niego i przemówił ojcowskim głosem:

»Mój synu, jeźliś ręce swoje krwią królewską zmazał, zwierz mi się szczérze; niémasz przestępstwa, któregoby szczéra skrucha zgładzić nie mogła.»

Przy pierwszém słowie które z ust księdza wyszło, jakaś mimowolna trwoga owładnęła nieznajomego; wkrótce jednak odzyskał spokojność i spoziérając na księdza —

„Nie,” — odpowiedział — »jeźli kto, to ją pewnie niewinien jestem téj krwi przelanéj.”

»Daję ci wiarę;” rzekł kapłan.

Poczém nastąpiła znowu chwila milczenia, w któréj powtórnie pokutnika oczyma zmierzył, i wtedy przyszło mu na myśl, iż to może jeden z owych lękliwych, którzy dla zachowania siebie samego, uświęconą głowę na śmierć wydali, a więc ozwał się nanowo:

„Uważ mój synu, iż aby téj zbrodni zupełnie być niewinnym, nie dość jest, nie mieć żadnego w niéj udziału. Ci, którzy mogli obraniać króla, a nie dobyli za niego oręża, również ciężko przed Bogiem zawinili.... gdyż przez nieczynność swoję stali się uczestnikami tego okrutnego występku.”

„Więc sądzisz ojcze,” — ozwał się nieznajomy nieco zmieszany — „że udział bezpośredni jest równie kary godnym? Jestże winnym żołniérz, któremu w szeregu stać każą?”

Kapłan nic nato nie odpowiadał. Nieznajomy wziął to za pomyślne rozwiązanie swego powątpiewania, i rad był, że czcigodnego kapłana tém zapytaniem

zagadnął; nie chcąc więc dać mu czasu do namysłu, mówił dalej:

„Nieśmiem cię szanowny ojcze upraszać, abyś przyjął odemnie jaki podarunek w nagrodę za to nabożeństwo żałobne, któreś za duszę króla i za uspokojenie sumienia mego odprawił. Tak zbawiennéj przysługi niczém odpłacić nie można. Przyjm tedy w oznakę mojéj wdzięczności tę relikwiję.... przyjdzie może kiedyś dzień, który cię przekona, jak wielkiej jest ona ceny.”

Tych słów domawiając, wręczył kapłanowi małe, bardzo lekkie pudełko; kapłan przyjął je prawie pomimo wolę, gdyż uroczysty ton nieznajomego i wyraz poszanowania, z jakim to pudełko dawał, zdziwiły go nadzwyczajnie. Poczém opuścili improwizowaną kaplicę i weszli do pokoju, w którym obiedwie zakonnice się znajdowały.

„Mieszkasz ojcze w domu,” — ozwał się nieznajomy do kapłana — »którego właściciel, Muciusz Scewola, wielką sobie wprawdzie w wydziale rewolucyjnym sławę zjednał, ale jednakże potajemnie Burbonom sprzyja. Był on niegdyś strzelcem u księcia Conti i jemu szczęście swoje zawdzięcza. Jeżli nie zechcesz opuścić tego domu, będziesz tu bezpieczniejszym niż gdziekolwiek we Francyi. Pozostań tutaj. Znajdą się pobożni ludzie, którzy będą się starać o zaopatrzenie cię wszelkiemi potrzebami, a tak możesz tu spokojniejszych czasów oczekiwać. Za rok, 21go stycznia, przyjdę tu znowu prosić cię o mszę ś. za duszę.....”

Nie dokończywszy co miał mówić, ukłonił się mieszkańcom tego nędznego domku, spojrzał raz jeszcze po sprzętach, które o ich ubóstwie świadczyły i wyszedł.

Dla obu pobożnych dziewic miała ta przygoda urok prawdziwego romansu. A gdy im kapłan o tajemniczym nadmienił darze, który od nieznajomego otrzymał, a teraz na stole postawił, nieposkromiona ciekawość zbarwiła ich lica. Panna de Langeais otworzyła pudełko i ujrzała w niém cienką, batystową, krwią splamioną chustkę.

„To jest krew!” zawołał kapłan smutnym głosem. Obie siostry opuściły relikwiję ze zgrozą z ręki. Dla nich była tajemnica nieznajomego zagadką niedocieczoną. Co się kapłana tycze, ten się nie starał aby ją sobie wyjaśnić. — Wkrótce mieszkańcy ubogiego domku doznali, iż pomimo panujący teroryzm, jakaś niewidoma, wielowładna ręka czuwała nad nimi. Otrzymali drwa i żywność, następnie bieliznę i suknie, w których, nie zwracając uwagi swoim dawnym arystokratycznym strojem, na miasto wychodzić mogli; późniéj postarał się dla nich Muciusz Scewola o karty obywatelskie. Często dochodziły kapłana tajemnemi drogami wiadomości, które się jego bezpieczeństwa tyczyły, a które tylko od osoby w politykę wtajemniczonéj, pochodzić mogły. Mimo iż w Paryżu najsroższy głód panował, zastawali trzéj więźnie codziennie pod drzwiami swéj izdebki bochenki białego chleba, które tam jakaś niewidoma ręka składała.

Nie było wątpienia, iż sprawcą tych dobrodziejstw był ów nieznajomy człowiek, który kapłana o mszę żałobną prosił. Jakoż stał on się przedmiotem uwielbienia tych trojga nieszczęśliwych, którzy tylko przez niego żyli. Zasyłali nieustannie modły do Boga, aby go od nieprzyjacioł ustrzegł, i jaknajdłuższego udzielił mu życia. A że ich wdzięczność codziennie nową miała podnietę, przeto też z każdym dniem coraz żywszą byli nabawieni ciekawością poznania go jaknajprędzéj. Towarzyszące odwidzinom jego okoliczności były nieustannym przedmiotem ich rozmowy; wpadali na tysięczne domysły, a ulga, jaką im zajmowanie się jego osobą sprawiało, była nowem dobrodziejstwem, które jemu zawdzięczać mieli. Mocno sobie postanowili oświadczyć mu najszczérszą wdzięczność, skoro podług przyrzeczenia swego przyjdzie obchodzić z niemi smutną rocznicę śmierci Ludwika XVI.

Nakoniec ta długo upragniona noc nadeszła. Usłyszeli kroki nieznajomego. Pokoj był już uprzątniony na jego przyjęcie i ołtarz przyrządzony. Tym razem wyszły siostry pierwsze naprzeciw niemu i poświeciły mu na wschodach. Panna de Langeais zbiegła nawet o kilka stopni na dół, aby go prędzéj obaczyć.

„Wejdź pan, czekamy pana!” rzekła wzruszonym głosem.

Nieznajomy podniósł pochyloną głowę i spojrzawszy posępnym, melancholijnym wzrokiem na zakonnicę, nie rzekł ani słowa, a siostrę Martę obleciał dreszcz lodowy. Na taki widok oniemiała wdzięczność, zgasła ciekawość. Być jednak mogło, iż on w istocie nie był tak zimnym i strasznym, jak się to tkliwéj wydało wdzięczności. Jednakże widać było wyraźnie, iż sobie życzył być niepoznanym, a zachowani przez niego nieszczęśliwi, nie śmieli się temu sprzeciwiać i żadnych mu pytań nie czynili. Zdało się tylko samemu kapłanowi, jakby się ich nieznajomy na widok przygotowanego dlań przyjęcia, zlekka uśmiechnął, lecz w téjże chwili przybrał wyraz dawnéj surowości i głębokiego smutku. Wysłuchał mszy świętéj, modlił się długo w pokorze ducha, a potém wymówiwszy się z grzecznością od wieczerzy, na którą panna de Langeais go zapraszała, odszedł.

Po dziewiątym Termidorze mogły już zakonnice i kapłan bez niebezpieczeństwa pokazać się w Paryżu. W najpierwsze odwidziny wyszedł kapłan do obywatela i obywatelki Ragon, na teraz właścicieli sklepu pachnideł, niegdyś w służbie królewskiéj, zawsze jednak wierni Burbonom, i utrzymujący korrespondencyję pomiędzy komitetem rojalistów w Pa-

ryżu z mieszkańcami Wandei. *Abbé* de Marolles wychodząc ze sklepu państwa Ragon, stanął właśnie na progu, gdy wielki natłok ludzi nie pozwolił mu wyjść na ulicę.

»Coż to znaczy?« zapytał pani Ragon.

»Nic ciekawego,« — odrzekła obojętnie — »jest to zwyczajny karawan katowski, udający się na plac Ludwika XV. Ach! częstośmy go tędy przejeżdżającego widzieli; lecz teraz możem już bez zgrozy patrzyć, sąto bowiem spólnicy Robespiera, których na śmierć wiozą; bronili go jak długo mogli, teraz przyszła na nich kolej, muszą sami iść tam, dokąd niegdyś tyle niewinnych wysłali.«

W tejże chwili śród tłumu ludu zbliżył się karawan katowski, a przerażony kapłan spojrzawszy, obaczył na nim tegoż samego nieznajomego, który z nim rocznicę śmierci króla obchodził.

»Któż to jest« — zawołał z trwogą — »ten co tam....«

»Jestto kat;« odpowiedział pan Ragon.

»Ach, jestto mój przyjaciel, mój zbawca!« zawołał *Abbé* de Marolles i zachwiał się i zemdlał.

Szanowna pani Ragon chwyciła cożywo flakonik z octem i zaczęła trzeźwić kapłana.

Gdy kapłan przyszedł do siebie i opamiętał się, rzekł głęboko wzruszony: »Bez wątpienia dał mi był chustkę, którą sobie nieszczęśliwy król, idąc na rusztowanie, pot z czoła ocierał... O biedny, biédny królu!! Miecz ze stali miał litość nad tobą — a Francyja się nie zlitowała!«

Państwo Ragon słysząc to, mniemali, iż kapłan zmysły postradał.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 15ty i zawiéra: 1) Uwagi nad zagonami wypukłemi i wązkiemi. 2) O sztuczném nawodnieniu łąk i pastwisk, tudzież o mieszaniu zielonéj paszy i zielonego nawozu. Dokończenie. 3) Lekarstwo na stowrzód czyli motylicy u owiec. 4) Lekarstwo na zgagę u nierogacizny. 5) Prezerwatywa od zarazy bydła. 6) Jeszcze jedno doświadczone lekarstwo na mokrsz krwawy u bydła. 7) Wiadomości handlowe.

Z Warszawy. *Biblioteka warszawska* na miesiąc kwiecień zawiéra: 1) Polesie, przez Józefa Śniadeckiego. 2) Pamiętniki moje w Hiszpanii, przez Kaj. Wojciechowskiego. Dokończenie. 3) Odpowiedź na rozprawę o procentach, o karze umownéj i zastawach antychretycznych, przez Fr. Brzezińskiego. 4) O bursztynie i z czego on powstał? przez Ant. Wagę. 5) O machinach elektro-magnetycznych, przez St. Przystańskiego. Dokończenie. 6) Pamiętniki Seglasa, przez Fr. hr. Skarbka. 7) Poezyje. 8) O brukach i brukowaniu. 9) Blanqui'ego Ekonomija przemysłowa, kurs z r. 1837 i 1838 — rozbiór przez H. L. 10) Kronika literacka. 11) Rozmaitości i t. d.

Dla zbiéraczy autografów. Niedawno odbyła się w Paryżu licytacyja rzadkich autografów, które wszakże tym razem znacznie taniéj niż przy innych okolicznościach, sprzedawano. Zazwyczaj zgromadza się na takie licytacyje wiele ludzi w tym jedynie zamiarze, aby się rękopismom i listom sławnych mężów przypatrzyli. Liczba miłośników podobnych zbiorów, jest wprawdzie bardzo wielka, lecz takich, coby znakomite sumy za nie wydawać chcieli, bardzo mała. Najczęściéj dzieje się ten handel przez zamianę pomiędzy zbiéraczami, którzy nieraz jednego rękopismu kilka egzemplarzy posiadają. Na ostatniéj licytacyi w magazynie p. Silvestre w Paryżu, zbyto przeszło 600 numerów, po większéj części pochodzących ze zbioru p. William Upcott w Londynie, ktory pomiędzy innemi posiada wiele własnoręcznych listów Fryderyka wielkiego, a w ogólności około 23.000 rękopismów sławnych ludzi, nie wliczając w te rękopismów książkowych. Listy cudzéj ręki, li tylko autograficznym podpisem opatrzone, bywają teraz nadzwyczajnie tanio zbywane. Dawniéj szedł własnoręczny podpis Karola Vgo lub Franciszka Igo francuzkiego równo ze złotem, teraz je sprzedają tylko wraz z innémi cenniéjszemi rękopismami, a i w takim razie nie znajdują jeszcze zbyt wiele kupców, ponieważ wszyscy prawie zbiéracze w podobne autografy już są zaopatrzeni. Zresztą nie zawsze cenią się te własnoręczne listy podług ich treści, lecz najczęściéj podług ich objętości. I tak np. sprzedano na ostatniéj licytacyi list niemieckiego poety Gesnera, nie mający żadnéj literackiéj wartości, za 50 franków, gdy tymczasem krótki, lecz historyczną wartość mający list Joachima Murata, króla neapolitańskiego, do Napoleona, za 42 franków zbyto. List ten był pisany w r. 1813, i jest dowodem iż Joachim Murat już wtedy sprawę swoję od sprawy Napoleona odłączyć zamyślał. »Daj Boże« — pisze krol neapolitański do cesarza — »by wreszcie pokój stanął! Nadsyłam w. ces. mości ustawę handlu z neutralnémi krajami, a nawet gdybym był przyzwolenia w. ces. mości otrzymać nie mógł, bytyby mię konieczne potrzeby finansów i aż nazbyt stanowczo wyrzeczone życzenia mego narodu, nieodzownie do tego kroku skłoniły.« — Listy Henryka IVgo, które niegdyś po 80 — 100 franków płacono, straciły wiele na wartości, odkąd wskutek nowszych historycznych poszukiwań, znaczną ilość listów tegoż króla odkryto, przezco teraz ledwie po 45 franków za nie dają. Podobniez i rękopisma Woltera spadły w cenie; na ostatniéj licytacyi sprzedano jakiemuś Auglikowi za 30 franków pakiet, zawierający podpisany przez Woltera list do Vauvenargues, własnoręczny bilet do Tiriota, i rękopism niedrukowanéj powieści »*Rosaire*«, którą powszechnie autorowi Kandida przypisują, a o któréj Mirabeau w korrespondencyi swojéj wspomina. List miłosny Henryka VIIIgo do Anny Boleyn, sprzedano za 251 franków, a ciekawy list Lutra, z załączonym wizerunkiem głowy jego, po śmierci przez Łukasza Kranach rysowanéj, wyszedł aż do 541 franków. Jeźli rysunek jest prawdziwym, tedy sam wart dwa razy tyle. Pismo Izaka Newtona w różnych umiejętnych przedmiotach, obejmujące dwie stronnice *in folio*, dla rzadkości newtońskich autografów, kupiono za 745 franków, i jest teraz własnością dyrektora w ministerstwie spraw zagranicznych, pana Feuillet de Conches. — Tak zwany Bibliophile Jacob (P. Lacroix) zamierza wraz z margrabią de Flers wydać dzieło, w którém mają być ustanowione prawidła do rozpoznawania autentyczności autografów, i układania onych w pewny systematyczny porządek.

Choć czarny, nie poczerni. »Miałem za sobą Gryzeldę Zamojską,« — opowiada książę Jeremijasz Wiśniowiecki — »wcale nie urodną ale serca i rozumu mężkiego pannę. Wraz ze mną starał się o nią Dominik książę Ostrogski, z linii Zasławskiéj. Małośmy się nie pobili kilka razy za urodę téj Heleny trojańskiéj. Podczas naszéj konkurencyi był książę Ostrogski piękny, młody, biały, ale delikatny, ospały, zgoła

nie udatny; ja zaś byłem dużo czarniawy, nie wielki ale rzeźki, i w stanie ładny, kibitny a przytém nazbyt skłonny. Przekupował książę Ostrogski baby i panny, że mnie ganiąc, mego rywala wychwalały przed panną. Raz gdy jéj baba — która przychylność panny dla mnie postrzegła — mówi: »Dla Boga, coś to upatrzyła w księciu Wiszniowieckim, — ón czarny!« — panna odpowiedziała: »Nie frasuj się, nie poczerni on mnie.« I ta decyzyja była dekretem, bo rodzice na nią zdali obranie kawalera, nie chcąc sobie nas obu możnych książąt urazić.«

Poselstwo z doniesieniem zwycięztwa. Gdy w miesiącu kwietniu, roku 1809, marszałek francuzki Lannes po długim oporze wziął szturmem Ratysbonę, przybył pewien sztabowy oficer w największym pędzie konia na wzgórze, gdzie się Napoleon otoczony jenerałami znajdował. Zaledwie mogąc utrzymać się na nogach, jak trup blady i cały krwią zbroczony, staje przed cesarzem, i woła wysilonym głosem: »Sire, Ratysbona zdobyta! Patrz, nasze chorągwie na murach miasta!.. Widzisz tam twoje orły, cesarzu!...« — »Wpan jesteś ranionym!« przerywa mu Napoleon. — »Nie, Sire, ja — jestem zabity!« To rzekłszy padł nieżywy na ziemię.

Smutne teatralnéj klaki nadużycia szérzą się wszędzie ku coraz powszechniejszemu zgorszeniu. W Londynie, w Paryżu i innych wielkich miastach bywa to złe jeszcze jakokolwiek znośniejsze, gdyż tam nikt ani powodów ani sprawców téj nieprzyzwoitości niezna, i ta cała haniebna teatralna sprawa w wirze codziennych znaczniejszych wypadków znika. Ależ w podrzędnych, lub wcale w małych miastach staje się klaka istotnie bezprawiem, zwłaszcza że każdy wie w jakim zamiarze się dzieje. I jakiż zaszczyt ma aktor z pochwał, z których wszyscy się śmieją, że od kilku hałaśliwych krzykaczy galeryjnych pochodzą i nie są znakiem uznania lecz raczéj wyszydzenia, nie są dowodem hołdu, lecz nikczemną, umówioną farsą... Te nadużycia doszły już do tego stopnia iż panowie aktorowie panom klakerom w tym względzie przepisy dają. Niedawno znaleziono przypadkiem jeden z takich przepisów, tyczący się przedstawienia nowéj trajedyi; stało w nim wyraźnie: gdzie klakerowie z wszystkich sił krzyczeć, gdzie klaskać, a kiedy przywoływać mają. Osobliwie zabawną była ta uwaga: »aby pan X. przy końcu pierwszego aktu — jeżeli można, zaś po drugim akcie koniecznie był przywołanym!« — Jeżli to dłużéj potrwa, do tego przyjdzie, iż autorowie, artyści, dyrekcyje i publiczność stracą wszelkie wyobrażenie o istotnym skutku sztuki, piękne cele pójdą w poniewierkę, a prawdziwe talenta będą musiały zrzéc się wszelkich publicznych pochwał.

Podróż około świata. Jeden z najzamożniejszych właścicieli okrętowych w Hamburgu, imieniem Sloman, wzywa do podróży około świata. W tym celu ma być urządzona duża fregata, obfitująca we wszystko, co tylko do bezpieczeństwa, wygody, zabawy i nauki podróżnych posłużyć może. Przedsiębiorca liczy przynajmniéj na 20 towarzzszów podróży, od których, za wszelkie koszta i utrzymanie z wszelkiemi wygodami, na rok, 3620 reńskich srebrn. od osoby żąda. Podróż może potrwać lat kilka.

Czerwone pantalony armii francuzkiéj amuletami. Jak wiadomo, Francuzi muszą nie tylko w Algierze, lecz także nad Senegalem wojować z afrykańskiémi krajowcami, chociaż walka nad Senegalem nie jest bynajmniéj tak zaciętą jak algierska. Murzyni zamieszkujący wybrzeża Senegalu są bardzo zabobonni, i pokładają nadzwyczajne zaufanie w amuletach, które oni *gris-gris* zowią. Te *gris-gris* są dla nich największéj wagi; one to bowiem użyczają im zdrowia, strzegą ich przed wężami, czynią od wszelkich ran bezpiecznymi, a nawet ich przy wiecznem życiu zachowują. Te *gris-gris* składają się z najrozmaitszych przedmiotów, jakoto: z zębów małpich, z rogów baranich, z wierszów koranu, z kosmyka wielbłądziéj sierści — i t. p. Rozdawaniem ich trudnią się Marabutowie, którzy ztąd niemały dochód mają. Każdy naczelnik, który idzie na wojnę, jest zazwyczaj od stóp do głowy temi *gris-gris* przystrojony i sądzi się przeto nieśmiertelnym. A chociaż się często zdarza, że francuzkie kule i szable bez najmniejszego względu na te amulety z tego świata ich sprzątają, przecież w te *gris-gris* nie tracą wiary, lecz utrzymują, iż marabut fałszywe amulety im sprzedał i nieraz za to mszczą się na nim okrutnie. Najbardziéj poszukiwanémi *gris-gris* są teraz czerwone pantalony i niebieskie kurtki francuzkich strzelców w Afryce. Widząc bowiem często murzyni, jak śmiało francuzcy żołnierze na śmierć się narażają a zawsze prawie szczęśliwie z potyczek wychodzą, powzięli to przekonanie, że ich czerwone pantalony od niebezpieczeństw ochraniają. Jakoż nie omieszkali Francuzi korzystać z tego śmiesznego zabobonu i sprzedają teraz wszystkie stare pantalony, które murzyni jako amulety na sobie wieszają. Widziano nieraz naczelników murzyńskich, kilką parami starych żołnierskich pantalonów ozdobionych, dumnie poprzed szeregami wojsk francuzkich przechadzających się, i ufających w niezawodną zbawienność tych czerwonych amuletów.

Tom Thumb w Paryżu. Słynny amerykański karzeł, jenerałem Tom Thumb zwany, który w Anglii tyle pochwał ile gwinejów zyskał, przybył obecnie do Paryża i pochwycił bardzo zręczną sposobność, aby całemu miastu głośno przybycie swoje oznajmić. Gdy bowiem dnia 21go marca przy otwarciu przejazdki na pola elizejskie ścisk najpyszniejszych powozów z natłokiem niezliczonego mnóstwa pieszo spacerujących osób o lepsze walczył, zatrzymał się nagle cały pochód, aby jakiemuś rzeczywiście liliputckiemu ekwipażowi miejsca ustąpić. Byłato zielona, bardzo piękna kolaska, 72 funtów ważąca, i parą kaledońskich *ponnies* zaprzężona, mających po 26 cali wysokości, które książę Devonshire karłowi w upominek ofiarował. Na koźle i z tyłu siedziało dwóch służących, odpowiedniego jenerałowi wzrostu, przybranych w elegancką liberyję. Gdy po półtoragodzinnéj przejazdce ten mały, tłumami pieszych osób, powozów i jeżdzców otoczony ekwipaż jenerała Tom-Thumba, ustawać zaczął; zajechała przed niego zwykła kareta najemna. Natychmiast obaj lokaje jenerała zskoczyli, podnieśli zręcznie kolaskę z konikami, i wsadzili ją do środka karéty najemnéj, która do miasta odjechała. Upakowany tak w podwójny sposób jenerał, kłaniał się przez całą drogę najuprzejmiéj uradowanéj paryzkiéj publiczności.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.